

Paweł Milcarek: Syndrom Pawła VI

W znanym fragmencie „Ducha liturgii” kard. Joseph Ratzinger napisał, że za pontyfikatu Pawła VI wydawało się, że „papież może zrobić wszystko z liturgią” – tak wysoko urósł absolutyzm władzy i tak niebywale zmałało poczucie „odgórności”, niemanipulowalności liturgii. Dotyczyło to przecież nie tylko liturgii, czyli sposobu sprawowania rzeczy świętych. Odczuwano, że Papież „może zrobić wszystko” z wieloma różnymi rzeczami, z dnia na dzień uznając za nieaktualne coś, co wcześniej było nienaruszalne – pisze Paweł Milcarek w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Kościół wobec nowoczesności”.

Podobno kardynał Montini, przyszły papież Paweł VI, był nazywany Hamletem przez jowialnego Jana XXIII. Gdy się kogoś tak nazywa, zwykle chodzi o skłonność do niekończących się wątpliwości i rozterek oraz ucieczki przed decyzjami w autoanalizę. Czy Paweł VI faktycznie był Hamletem?

Jest sporo świadectw pokazujących jak często i mocno „hamletyzował”, niejako zamknięty w rozterkach. A przecież jego pontyfikatu nie można nazwać czasem zastoju i braku decyzji – wydarzyło się bardzo dużo rzeczy o potężnym znaczeniu dla następnych lat. Czy to wszystko mieści się w spektrum Hamleta?

Już dobre ćwierć wieku temu Thomas Molnar wskazał, moim zdaniem najtrafniej, istotę kwestii Pawła VI. To, co tak łatwo redukuje się do fenomenu psychologicznej niepewności, było obiektywną komplikacją formacji intelektualnej: Montini, podobnie jak wielu innych katolików jego środowiska burżuazji północnych Włoch, łączył bardzo klasyczne, tomistyczne formuły teoretyczne z „chadeckim” przekonaniem, że nowa epoka mas, demokracji i postępów techniki wymaga też *nouvelle chrétienté*, czyli nowego społecznego ufundowania życia chrześcijańskiego, uwzględniającego m.in. nastroje lewicowe, oczekiwania młodzieży, wymagania inkulturacji.

*Montini, podobnie jak wielu
innych katolików jego środowiska
burżuazji północnych Włoch,
łączył bardzo klasyczne,
tomistyczne formuły teoretyczne z
„chadeckim” przekonaniem, że
nowa epoka mas, demokracji i
postępów techniki wymaga
też nouvelle chrétienté.*

Rzecz jasna dla Montiniego było oczywiste, że to nowe ufundowanie chrześcijaństwa ma posłużyć temu, co dane w nim odwiecznie. Wraz z wieloma wybitnymi ludźmi swojego czasu uznawał, że w chrześcijaństwie istnieje jakaś dająca się

wyodrębnić jego „istota” – dla której nienaruszalnego zachowania można i należy manipulować tym, co „nieistotne”.

Chyba mało kto zaneguje i dziś zasadniczy sens tego odróżnienia podstawowej treści i wtórnych form lub sposobów jej propagacji. Jednak w wersji, która niewątpliwie przekładała się na reformatorskie myśli i działania Papieża

Montiniego, mamy więcej niż teoretyczne odróżnienie substancji i przypadłości lub samego życia i sposobów życia. Jest tam również założenie, że to, co „nieistotne”, faktycznie nie ma znaczenia dla „istoty”, więc jest zmienne jak czasowo przybrana szata. Zatem można kroić na nowo szaty bez obawy, że zmieni to coś „w istocie”.

Zauważmy, że logika ubierania jest inna niż logika wcielania. W tej pierwszej treść i forma nie tylko różnią się wyraźnie, ale też rozłączają bez trudu: formy–szaty są rzeczywiście czymś wtórnym względem treści–ciała, które zresztą pierwotnie, autentycznie i najszczerzej jest nagie. Zgodnie więc z logiką ubierania „istota chrześcijaństwa” z jednej strony musi – jak nagi człowiek – otulać się w różne materie, lecz z drugiej strony żadna z tych „koszulek” nic do niej nie wnosi, a raczej wciąż przysłaniają one rzeczywistość. Konsekwentnie, celem rozwoju duchowego jednostek jest dotarcie i zjednoczenie się z „nagą prawdą”, co oczywiście nie musi wykluczać jakiegoś szacunku dla zmiennych „szat”.

W wymiarze wspólnotowo–historycznym każda wielka reforma chrześcijaństwa będzie tu więc pojmowana jako jego „przebieranie” – w trakcie którego „przebierający” i wszyscy bliscy świadkowie tej operacji widzą przez chwilę „samą istotę” Ewangelii, stają się więc jakby nowym pokoleniem apostołskim. Po chwili następuje jednak ponowne przybranie nagości – lecz możemy się domyślać, że reformatorzy o najlepszych intencjach spróbują skroić i nałożyć Chrystusowi–Kościołowi szatę jak najmniej sfałdowaną i wzorzystą. Oczywiście następne wieki wzbogacą szatę – a następna reforma znów zastąpi ją inną, prostszą.

Na tle tej konfekcyjnej swobody logiki ubierania logika wcielania wnosi wyraźnie odmienne zasady. Ciało, inaczej niż szata, nie przylega do rzeczy, lecz do niej należy, uczestniczy w byciu nią. Nie likwiduje to problemu różnicy „istoty” i rzeczy „nieistotnych”, lecz uniemożliwia szybkie przejście od tego odróżnienia do swobody manipulowania „nieistotnym”. „Nieistotne” (w byciu człowiekiem lub drzewem) jest całe mnóstwo cech, bez których nie będzie żadnej realnej istoty danego bytu. Ilości, rozmiary, jakości, kształty, wydzielone sekcje organizmu – wszystko to jest niezbędne do życia i niewymienne lub z trudem wymienne, mimo że przecież nie jest „istotą”.

W ten sposób w pojmowaniu chrześcijaństwa myślenie metafizyczne „o istocie” spotyka się z niezbędną „przypadkowością” historii zbawienia: tradycja Słowa Bożego przechodzi już od samej chwili Wcielenia przez osoby, rzeczy i kultury bynajmniej nie „istotne”, a zawsze jakoś „przypadkowe”. W ten sposób historie, słowa, gesty wydobyte z konkretnych dziejów i w nich naznaczone Objawieniem, zachowując swoją pierwotną przypadkowość, stają się przecież konieczne w dalszym przekazie chrześcijaństwa. Co więcej, nadal nie wszystko z tych „przyłączonych przypadków” sytuuje się na tym samym stopniu ważności – a jednak i tak to, co niższe w hierarchii, nie może być po prostu pominięte lub czymś innym zastąpione (przypomina o tym pojęta właściwie soborowa zasada „hierarchii prawd”).

Jest więc taki stopień owego przyłączenia, przy którym jakaś przyłączona materia natury i kultury nie może być pominięta – nawet gdy chrześcijaństwo wędruje do innej kultury i jej odmiennych kontekstów. Wędruje tam z „przypadkowością” narracji biblijnych, materii sakramentalnych, tradycji ceremonialnych, formuł dogmatycznych. Oto „ciało” chrześcijaństwa, którego nie zamienimy jak ubranie, nie wymyślimy mu innej kultury.

Co to wszystko wnosi do sprawy reform chrześcijaństwa? Przede wszystkim ostrzeżenie: nie wszystko, co „nieistotne”, jest tylko zmienną szatą – bardzo dużo składników „nieistotnych” to warstwy i części ciała. Prawdziwa reforma nie jest ani przebieranką, ani tatuażem, ani operacją plastyczną dokonywaną pod wpływem różnych zapotrzebowań. Jest o wiele bardziej podobna do narzucenia sobie reguł zdrowego życia – diety, aktywności etc. Rzecz w podtrzymaniu tej dyscypliny. Inwazyjność nawet dużych reform ma zaś wymiar, nomen omen, raczej kosmetyczny niż chirurgiczny. W efekcie mniej zależy od ruchów skalpela na stole operacyjnym, a znacznie więcej od uaktywnienia witalności – przez dostarczanie właściwego pożywienia i przez wykonywanie ćwiczeń życiowej aktywności.

Dopiero do tego dochodzi – kontynuujmy nasze metafory – kwestia szat i jej zmiennych stylów – i, owszem, zmienia się szaty znacznie częściej niż trzeba dokonywać dużej reformy.

Oto więc syndrom Pawła VI: człowiek i pasterz, któremu jego klasyczna formacja teologiczna umożliwiła widzenie chrześcijaństwa nie tylko jako „ducha”, lecz jako ciało – w praktyce zgodził się na potraktowanie wszystkiego co „nieistotne” (poza „istotą chrześcijaństwa”) jako wymiennej szaty. W sumie więc zgodził się, by na nowo „skroić” nie tylko ubranie, lecz i razem z nim członki ciała.

W tym konstruktywizmie reform autoryzowanych przez Papieża było sporo obojętności względem dziedzictwa. Co prawda np. w słynnym przemówieniu z 1969 r. o konieczności pożegnania się z tradycyjną liturgią Paweł VI deklarował, że sam traktuje to jako nielekką ofiarę, ale wolno przypuszczać, że była to ofiara w kategoriach odczuwania zubożenia estetycznego, a nie w

kategoriach zerwania w doświadczaniu wiary. Jeden z kurialnych współpracowników Papieża, abp Ferdinando Antonelli, zanotował z goryczą jeszcze w roku 1968: *Tym, co jest smutne ... jest założenie, postawa umysłowa, uprzednio przyjęty pogląd – to, że wielu tych, którzy mają wpływ na reformę ... i jeszcze inni, nie mają żadnego umiłowania, żadnego szacunku dla tego, co nam zostało przekazane. Już na początku czują jedynie pogardę do tego, co istnieje obecnie. Jest to mentalność negatywna, niesprawiedliwa i godna ubolewania. Niestety papież Paweł VI jest także trochę po tej stronie. Wszyscy oni mogą mieć najlepsze intencje, ale przy mentalności tego rodzaju są bardziej skłonni niszczyć niż odbudowywać.*

Tu jednak Paweł VI okazał się Hamletem – jakby niepewnym, czy nie uczestniczy w czymś nierozsądnym lub zbyt radykalnym. Do rangi symbolu uchodzi drobne wydarzenie towarzyszące jednemu z licznych przypadków, gdy Papież podejmował ważne decyzje niejako wbrew swej woli, manifestując, że ulega naciskowi. W projekcie dekretu, w którym *de facto* ustępował „nadreńskiemu” żądaniu legalizacji Komunii na rękę (mimo przytoczenia wcześniej rozmaitych powodów, dla których powinien odmówić), Papież przekreślił zwyczajową formułę „mam przyjemność zakomunikować...”, pisząc na marginesie: *ależ nie, nie mam żadnej przyjemności!*

Pełno jest takich wykrzykników w różnych wystąpieniach Pawła VI – często w tych samych, w których uznawał różne wprowadzone przez siebie radykalne cięcia za „nieuniknione”. W ten sposób sam skrytykował np. wprowadzony przez siebie nowy ryt chrztu dzieci – za „niezbyt realistyczne” uznając usunięcie z niego egzorcyzmu. Szerokim echem odbiła się w świecie jego melancholijna fraza o „smrodzie szatana, który wdarł się do wnętrza świątyni”. Niestety i ona była tylko hamletyczną dywagacją na marginesie własnej dwuznacznej postawy.

Przecież patronował wielu tym aktom „samozniszczenia” czy „desakralizacji”, które gorąco krytykował w publicznych wystąpieniach i prywatnych rozmowach. Niekiedy więc z osłupieniem słuchano jego lamentu nad postępującym kryzysem – czyżby naprawdę nie widział, że sam zapewnia siłę projektom, które tak owocują?

Legalizował je swoją najwyższą władzą – wcześniej dając się wyřęcać (ale i manipulować) zręcznym technikom władzy, których stawiał na czele ważnych instytucji (tu przykładem najlepszym jest oczywiście rola ks. Annibala Bugniniego jako przewodnika reformy liturgicznej, ale podobnie ważny jest przypadek Giovanniego Benellego, „mocnego człowieka” z Sekretariatu Stanu).

Równocześnie nieraz odzywała się w nim klasyczna formacja teologiczna oraz wierność zasadom doktryny: wydawał precyzujące encykliki oraz polecał wydawać porządkujące instrukcje – pełne ostrzeżeń przed błędami i wezwań do uszanowania dogmatu. Ukoronowaniem tych oficjalnych hołdów na rzecz katolickości było słynne *Credo Ludu Bożego*. Jednak w aktach tego rodzaju było zawsze coś z rodzaju bezskutecznego „potwierdzenia zasad” – brakowało ich skutecznego wprowadzenia w życie Kościoła.

Przez kilkanaście lat pontyfikatu Pawła VI Kościół zdążył sobie „skroić”, w wyjątkowym pośpiechu, niemal całą nową liturgię – ale nie zdołał nabyć aktualnego Katechizmu oraz integralnego Kodeksu Prawa Kanonicznego. Katecheza odbywała się więc w atmosferze wyrzucania do kosza starych katechizmów, jako „już nieaktualnych”, a dyscyplina rozmywała się w przekonaniu, że Ewangelia przecież nie potrzebuje prawa. Papież nie podjął skutecznych działań, by zaradzić tym brakom – nawet sama potrzeba

Przez kilkanaście lat pontyfikatu Pawła VI Kościół zdążył sobie „skroić”, w wyjątkowym pośpiechu, niemal całą nową liturgię.

rzymskiego Katechizmu i prawa kanonicznego pozostawała w jego epoce rzeczą niepewną. W praktyce więc najślabsi w Kościele (młodzi w etapie formacji i

podlegli dyscyplinie kościelnej) pozostawali przez lata dość samotni na falach natchnień swoich nauczycieli i przełożonych, także tych w nimbie proroków „nowego Zesłania Ducha Świętego”. Każda próba dyscyplinowania tej dziwnej sytuacji spotykała się z na poły żartobliwym: „no nie róbmy Trydentu!”

Jeśli chodzi o reformy posoborowe, niewątpliwie Papieża przerosły konsekwencje jego własnych działań. Najlepiej widać to na przykładzie reformy liturgicznej. Przegląd aktywności Papieża na tym odcinku – w tym zwłaszcza „trudny dialog” z zaufanym Bugninim i grupą ekspertów z *Consilium* w latach 1967–69 – wskazywałyby na z jednej strony nadzwyczajne poczucie swobody u Papieża w decyzjach zmieniających diametralnie kształt liturgii Kościoła wbrew jego całemu dziedzictwu (np. decyzja o napisaniu nowych modlitw eucharystycznych w rycie rzymskim), lecz z drugiej – właśnie hamletowskie akty skrupułów owocujące przywróceniem w ostatnim momencie tego czy owego elementu tradycji, ku niezadowoleniu ekspertów (np. decyzja o zachowaniu dialogu *Orate fratres* w mszalnym ofiarowaniu lub zachowanie *Veni Creator* przy niektórych obrzędach sakramentalnych).

Wraz z biegiem czasu Paweł VI miał coraz mocniejsze poczucie niepanowania nad chaosem samowolnych zmian w różnych wpływowych ośrodkach Kościoła – chaosem firmowanym nazwiskami tych samych hierarchów i teologów, którzy zdążyli urosnąć do autorytetów „odnowy soborowej”. Takie przypadki, jak słynny Katechizm holenderski – uznany przez Papieża za heterodoksyjny, lecz mimo to *de facto* podtrzymany przez biskupów holenderskich – były sygnałem, że możliwości Papieża w zakresie autorytatywnego nauczania w Kościele uległy zawężeniu. Podobno Ojciec Święty płakał z powodu takich objawów nieposłuszeństwa. To prawdopodobne – lecz niewiele zmienia.

Ukształtowany w szkole dyplomacji watykańskiej, także charakterem był predysponowany do zajęcia pozycji „centrowego mediatora”, który umie zrozumieć i połączyć w umiarkowanym reformizmie przeciwstawne stanowiska nieprzejednanego konserwatyzmu i militanckiego progresizmu. Sygnalizował gotowość podjęcia tej roli wielokrotnie (tak odebrano m.in. jego pierwsze wystąpienie w debacie soborowej w październiku 1962 r., gdy przemawiał z pozycji arcybiskupa Mediolanu). Zapewne to również przyczyniło się do jego wyboru na papieża w samym środku procesu soborowego.

W Rzymie od dawna – niewątpliwie już w epoce Piusa XII, jeśli nie wcześniej – uznawano za ideał uciąganie stanowisk umiarkowanych zawierających równowagę między sprzecznymi tendencjami. Gwarantem równowagi była władza papieska – co oznaczało, że, jak w świeckiej polityce, najbardziej funkcjonalnym rozwiązaniem byłoby połączenie raczej miękkich wymagań „dogmatycznych” z utwardzonymi wymaganiami „dyscyplinarnymi”.

W posoborowym czasie wojen między integrystami i progresistami Paweł VI nieraz przedstawiał swoją linię jako „złoty środek” między tymi skrajnościami.

W posoborowym czasie wojen między integrystami i progresistami Paweł VI nieraz przedstawiał swoją linię jako „złoty środek” między tymi skrajnościami. W pewien sposób jego

autorytet zaczął polegać na tym, że miał być dla jednej strony zabezpieczeniem przed naciskiem drugiej. Tak więc prymat Piotrowy był w czasach Pawła VI nieco bardziej sposobem zabezpieczenia porządku i równowagi niż sposobem ustrzeżenia i kultywowania Tradycji.

Progresistom naraził się zwłaszcza (nie wyłącznie) przez potępienie sztucznej antykoncepcji w *Humanae vitae*. Mimo wahań i podpowiedzi komisji ekspertów Paweł VI ostatecznie uznał antykoncepcyjne sterowanie płodnością za niemożliwe do pogodzenia z prawem moralnym. Jednak nikomu w Kościele nie „spadła głowa”, gdy nawet publicznie i manifestacyjnie odmawiał uznania tej nauki moralnej Papieża – być może dlatego że uczyniły to wpływowe episkopaty zachodnie. Kilka lat później spadła natomiast głowa moralnego przywódcy "integrystów" arcybiskupa Marcelego Lefebvre'a – został razem ze swoimi księżmi obłożony suspensą – za to, że wzburzony nonszalanckim zachowaniem wysłanników papieskich odmówił podporządkowania się zakazowi udzielania święceń kapłańskich. Dyscyplina jednak ponad wszystko!

W znanym fragmencie *Ducha liturgii* kard. Joseph Ratzinger napisał, że za pontyfikatu Pawła VI wydawało się, że „papież może zrobić wszystko z liturgią” – tak wysoko urósł absolutyzm władzy i tak niebywale zmałało poczucie „odgórności”, niemanipulowalności liturgii. Dotyczyło to przecież nie tylko liturgii, czyli sposobu sprawowania rzeczy świętych. Odczuwano, że Papież „może zrobić wszystko” z wieloma różnymi rzeczami, z dnia na dzień uznając za nieaktualne coś, co wcześniej było nienaruszalne – gdyż dopuszczano, że może zrobić w ogóle wszystko z „nieistotnym”, jakby wszystko poza najściślejszym, najwęższym pojęciem ustanowieniem Bożym było jedynie czymś jak tiara, złotym ciężarem do pozbycia się w emfaticznym geście „powrotu do ubóstwa i prostoty”.

Niewątpliwie całym swoim delikatnym sercem służył sprawie Bożej tak jak najlepiej potrafił i rozumiał. Jest wiele świadectw o jego osobistej świętości – przydały się w niedawnym wynoszeniu go na ołtarze. Wątpliwości i krytyki dotyczące sposobu rządzenia i reformowania mimo wszystko pozostają. Bywało też, że pełniony urząd ubezpieczył go przed uleganiem własnej skłonności czy nachyleniu umysłu. Paweł VI – Hamlet na papieskim tronie.

Paweł Milcarek

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego